

# 0 elektryku, który został prezydentem

9 października 2013

Amerykański sen „od zera do milionera” w pewien sposób ziścił się nad Wisłą. Co z tego wynikło?

Lech Wałęsa jest jednym z niewielu przypadków postaci historycznych, które stały się symbolami. Owszem, rolę tę pełni wiele postaci z historii starożytnej, takich jak król Frygii Midas, Kwintus Fabiusz Maksymus Kunktator lub Gajusz Cylniusz Mecenaz, sporadycznie także ze średniowiecza, jak św. Franciszek, Bernard Gui lub nasz Zawisza Czarny z Garbowa. Davy’ego Crocketta lub Robespierre’a należy (tak mi się wydaje) rozpatrywać już w innych kategoriach. Wałęsa... Czy się nam to podoba, czy nie, gdański elektryk stał się symbolem walki z komunizmem. Do słuszności tego jeszcze wrócimy, na razie musimy się jednak zgodzić, że w powszechnej świadomości taką rolę pełni, spychając na dalszy plan, na przykład, Annę Walentynowicz. Przyznam, że w rozmowach z kolegą zdarzało się nam określać go żartobliwie mianem „Dobra Narodowego”. Lech Wałęsa, człowiek, który obalił komunizm...

Dzisiaj Wałęsa jest pomnikiem. Ruszenie go grozi reperkusjami, o czym przekonali się Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk. Jego, mówiąc delikatnie, niefortunne sformułowania, jak to o „pałowaniu” związkowców lub o chorych na własne życzenie „pedałach i lesbijkach” są dość wstydliwie pomijane. Nie pasują do jego legendy Wyzwoliciele.

W moim osobistym, subiektywnym odczuciu Wałęsa jest jaskrawym przykładem uprawiania „polityki historycznej” w najlepszym (lub najgorszym) wydaniu. Jego dzisiejszy wizerunek zatracił całkowicie jakąkolwiek ciągłość z tym, kim ta postać była w rzeczywistości. Kreuje się go na wojownika, człowieka, który obalił komunę, wprowadził demokrację i jeszcze siłą rozpędu

popchnął nas w XXI wiek. Słyszając niektóre bałwochwalcze głosy można naprawdę odnieść wrażenie, że na spokojnie stworzy polsko-niemieckie państwo federacyjne a potem, w ramach odpoczynku, wynajdzie lek na raka. Mam pełną świadomość przesady, jakiej się tu dopuszczam, jednak jego piewcom zdarza się podobna bombastyczność. Choćby w tytule najnowszego filmu Andrzeja Wajdy „Wałęsa. Człowiek z nadziei”, słowach Władysława Frasyniuka „Jako postać historyczna jest postacią posagową, (...) na miarę Piłsudskiego i Dmowskiego razem wziętych” lub Donalda Tuska „Drogi Lechu byłeś, jesteś i pozostaniesz legendą, wielkim bohaterem naszej wielkiej legendy: koniec kropka”. Przykłady można by mnożyć dalej, oddają jednak dobrze czołobitność, jaką składa się... no właśnie legendzie. A legendy mają to do siebie, że są nienaruszalne. Jak w swej rewelacyjnej piosence „Tajemnice wiary mej” śpiewał kabaret Dudek:

„Wtedy archanioł C.  
Dostał w zęby, niech wie  
że na świętych donosić nie opłaca się”

Wspomniani już Cenckiewicz z Gontarczykiem przekonali się o tym boleśnie. „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii” wywołała burzę. Uważam, że obaj historycy popełnili strategiczny błąd: podeszli do sprawy akademicko. Zarówno „SB a Lech Wałęsa” jak i „Sprawę Lecha Wałęsy” czyta się ciężko – to akademicka monografia z setkami przypisów. Miała zapoczątkować dyskusję, przedstawić dostępne źródła, poddając je krytyce, zaprezentować pewną tezę. Uznać, że „książka z tezą” jest określeniem pejoratywnym mogą tylko ludzie nie miewający kontaktu z pełnokrwistymi pracami historycznymi. Sam osobiście w czasie mojej studenckiej edukacji bywałem besztany przez moich profesorów, którzy oceniając moje pierwsze prace naukowe niecierpliwili się: „w pańskiej pracy nie postawił pan żadnej tezy”. Błędy początkującego studenta, do dziś jednak pamiętam ich słowa i dziwię się słysząc „pfff... to książka z tezą”. Co ciekawe, większość ataków na „odbrązawiających”

Wałęsę nie dotyczy merytorycznej strony ich prac, lecz samego faktu ich powstania. Cenckiewicz oskarżano o „siepactwo”, bycie „nadwornym oficerem śledczym prawicy” oraz „kredensowym z okolic SB”, który to bluzg osobiście uważam za jeden z najciekawszych. Polemiki z merytoryczną stroną jego też było jednak bardzo niewiele.

W dużej mierze było to spowodowane faktem wzięcia się za polemikę przez publicystów. Żakowski, Frasyniuk, Passent, Michnik, Daszczyński et consortes złapali za pióra i zaczęli ofensywę na łamach prasy, prace historyków jednak należą do rzadkości, ograniczyły się w większości do pojedynczych artykułów. Te zaś utonęły w zalewie felietonów. Dlaczego?

Bo historia schyłkowej PRL i wczesnych lat '90 to trochę Dzikie Pola. Nie do końca wiadomo, czyje to terytorium: dziennikarzy czy naukowców. Jest ono jednak zbyt ważne, by pozostawić je niezagospodarowane. Współczesna konstelacja polityczna nie narodziła się w wyniku Wielkiego Wybuchu, zaś postacie z dzisiejszej sceny politycznej nie wyłoniły się niczym Wenus z morskiej piany. Jest efektem złożonego i ciągłego procesu, który swój początek bierze w sejmie kontraktowym i wcześniej jeszcze, wśród środowisk PZPR i jej opozycji. Domeną prawej strony sceny politycznej i publicystycznej jest sarkanie na ten fakt, lewej zaś wychwalanie go. Obojętnie jednak, jakie mamy konotacje z nim związane, musimy się zgodzić, że od 1989 roku nie wybuchła żadna rewolucja, nie było zamachu stanu ani też radykalnego przemeblowania sceny politycznej, w wyniku której wymienił by się cały skład Sejmu. Nowe twarze stopniowo się pojawiają, nie jest to jednak proces tak szeroki, by dzisiejszą politykę uważać za coś odrębnego. Skoro więc mamy świadomość, że rzeczywistość 2013 roku zbudowana jest na fundamentach roku 1989, to tenże fundament musi być odpowiednio solidny. Bo budynek się posypie.

Czy Wałęsa był symbolem „Solidarności”? Choćby nawet go nie lubić, trzeba mu przyznać: był. Czy jedynym? Anna

Walentynowicz lub małżeństwo Gwiazdów z pewnością by się nie zgodzili. Wałęsa jednak dysponował jednym atutem nie do przebicia: był przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Niejako automatycznie czyniło go to zaangażowanym w nowopowstający układ polityczny, co sformalizowało się w momencie wybrania go na prezydenta w 1990 roku. W newralgicznym okresie pierwszych lat ostatniej dekady XX wieku Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki wywarli swymi decyzjami decydujący wpływ na kierunki rozwoju państwa, zapoczątkowując łańcuch wydarzeń trwający do dziś. Zwłaszcza pierwszy prezydent odrodzonej Rzeczypospolitej potrafił to wykorzystać: symbol opozycji do starego stał się symbolem powstania nowego. Było to nieuniknione, stał w blasku przemian, na które wyczekiwano od 1945 roku. Jego poparcie było wiele warte, a on sam udzielał go wedle swego uznania. Pomylił się tylko (i zarazem chyba najbardziej zdziwił) przy Mazowieckim, który nie chciał mu się w żaden sposób podporządkować, co doprowadziło do wspaniałego dialogu:

„- To ja pana zrobiłem tym premierem!

- No tak, ale ja już jestem tym premierem.”

Wałęsa stał się więc symbolem przemiany. Elektryk stoczniowy, przewodniczący potężnej siły opozycyjnej, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwsza od czasu wojny demokratycznie wybrana głowa Ojczyzny. Symbol obalenia ustroju socjalistycznego.

I w tym właśnie sęk.

Każdy kontestujący aktualny porządek polityczny musi cofnąć się do jego przyczyny, czyli transformacji ustrojowej. Stąd rozliczne oskarżenia wysuwane pod adresem Okrągłego Stołu. Kontestatorzy chcący reformować sytuację w państwie zmuszeni są uznać, że wina leży już w jej genezie, tam bowiem doprowadzi nas każde szukanie kolejnej przyczyny. Skoro więc chcemy się od niego odciąć, musimy się także odciąć od czerpania z Wałęsy. Z drugiej strony zaś mamy apologetów

aktualnego porządku. Ci muszą odeprzeć ataki na jego genezę, a za tym idzie – także na jego symbol. Czyli Lecha Wałęsę. Do tego momentu jednak wszystko jest w porządku. Obracamy się w domenie politologii i publicystyki, rządzącej się osobnymi prawami. Problem jednak zaczyna się, kiedy ma miejsce sytuacja odwrotna.

Technicznie rzecz biorąc, nawet wczorajszy dzień jest już historią. Adeptci Klio niechętnie wprowadzając biorą się za wydarzenia, które miały miejsce po 1989 roku, pomału jednak się do tego przekonują. Oznacza to jednak, że wkraczamy w świat dotychczas znajdujący się w niepodzielnym władaniu dziennikarzy, którzy historyków traktują według swojej miary. Nie tylko dziennikarzy zresztą, ale także zwykłych obywateli, nierzadko po prostu pamiętających te wydarzenia. Żyjemy w świecie polityki, dyskutujemy o niej, widzimy, jak wpływa na nasze życie, śledzimy jej ciągi przyczynowo-skutkowe... i nie przyjmujemy do wiadomości, że ktoś może spróbować opisać znane nam wydarzenia jako historię, z jej aparatem krytycznym i źródłowym. To powoduje dysonans, podejrzenie o ukryte motywacje polityczne. Bo nie możemy przyjąć do wiadomości, że ktoś tylko (a może aż) szuka prawdy historycznej, to niezgodne z naszym sposobem myślenia tak mocno osadzony w spolityczowanym i zrelatywizowanym świecie. Mam pełną świadomość tego, że historycy też są ludźmi i mają swoje poglądy polityczne. Sam mam swoje i nie mam złudzeń, że niejednokrotnie przebijały one w moich tekstach tak, jak i przebijają one w tekstach zawodowych historyków, gdy zdecydują się napisać tekst publicystyczny. Dziennikarze zdają się jednak nie wiedzieć, że dla historyka istnieje bardzo jasne rozgraniczenie między pracą publicystyczną i naukową. O ile w publicystyce można sobie na pewne rzeczy pozwolić, o tyle w pracy naukowej pisanie przez pryzmat własnych preferencji politycznych jest niewybaczalnym błędem. I nikogo z historyków nie obchodzi, że błąd ten wytknie im jakiś dziennikarz, obawiają się bowiem czegoś o wiele bardziej poważnego: że zostaną zdyskwalifikowani w środowisku naukowym. Przy groźbie

wyrzucenia z wieży z kości słoniowej z etykietą niepoważnego naukowca nawet najbardziej jadowite błuzgi dziennikarzy błedną... chyba, że dany historyk zdecydował się właśnie zakończyć swoją karierę naukową.

Teoretycznie nic nie stoi na przeszkodzie, by za Wałęsę, Jaruzelskiego, Mazowieckiego czy Olszewskiego wzięli się historycy. Niestety tylko teoretycznie, w praktyce bowiem postaci te mają pewien niezaprzeczalny feler: wciąż widzimy bezpośrednie skutki ich działań, wciąż kształtują one naszą rzeczywistość i wciąż wykorzystywane są w debacie publicznej. Albo więc przyjmujemy do wiadomości, że niesłychanie od pewnego czasu modne „odbrązawianie” pasuje równie dobrze do wielkich postaci historycznych, jak i do tych, którzy na kartach historii świeżo się usadowili, albo przyjdzie nam poczekać jeszcze parę ładnych lat, nim ktoś się odważy ocenić dorobek Lecha Wałęsy lub jakiegokolwiek innej postaci, bez poczucia, że zwali mu się na głowę tona słusznego gniewu dziennikarzy danej opcji politycznej.

Autor: Przemysław Mrówka

Źródło: [Histmag.org](http://Histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)